

J. POWALSKI.

# .. SZTANDARY .. KSIĘCIA JÓZEFA.

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.

10

Ruszyli w drogę.

— Może tego pożałuję, — rzekł Bromirski po chwili. — W momencie głodu robi się wiele, czego się nie przyjmie na syto. Koń jest jak towarzysz: trudno zjadać towarzysza. Szlachecki honor wyrósł na dobrej paszy, myślę, i wzmocnił się w ludziach silnych, wykarmionych, i zwycięskich. W głodzie i nagości nędzarzy traci sens. Ale cóż sensu nie traci w obliczu śmierci, głodu, albo miłości? Jest to jakby mocowanie się z nędzą naszego przyrodzenia. Kiedy uda nam się stać się niezależnymi od głodu, mrozu, nędzy, miłości, tworzymy sobie prawa wedle naszego smaku, sprzeczne ze smakiem natury, której gust możemy obserwować w życiu zwierząt, gdzie słabszy jest jedzeniem dla mocniejszego.

— Co za łajdaki, — rzekł Ignacy. — Bydłęta, tchórze! Nasihi tego nigdy nie zrobili. Do tego trzeba Niemców, już ja ich znam.

Szli znowu w milczeniu.

— Nic się nie rozwidnia, — zauważył Bromirski.

— Chmury śniegowe na całym niebie, — rzekł Ignacy. — Pewnie dlatego.

Droga łatwo było poznać, mimo ciemności, po wybojach pod śniegiem i po leżących trupach, na których się nieraz potykali.

— Żebym już znalazł tę moją kompanię! — niecierpliwie cisnął się Ignacy. — Niemożliwe, żeby się rozsypała. Musi gdzieś być i ma konie, żywność pewnie.

Droga zaczęła się wznosić powoli. Szła jakimś pagórkami, pokrytymi zaroślami. W mroku już coś po niej zaczęło się ruszać. Szli ludzie, jechały jakieś furgony po jednem.

— Zdaje się, że ciągle jesteśmy w ogniu armii, — rzekł Ignacy. — Żeby można przeciąć bokiem, przez pola, tobyśmy może wyszli na środek, i łatwiej znaleźli swoich. Tylko czy kolega zdołałbyś?...

— Jeden dyabeł, — odparł Bromirski. — Jakoś nieźle maszeruję. Podreparowałem się przez tę jazdę i dobry nocleg. Byłe nas kozacy nie dopadli.

— Żeby jeszcze co dostać do jedzenia, — rozważał Ignacy, któremu zbliżanie się do owych zdala już widzianych ognisk, podsuwało nieokreślone nadzieje.

Ogniska rozłożone były na zboczach pagórka, pod który wspięła się droga, zwracając jednak w przeciwną stronę.

— Niema co, — rzekł Ignacy, — chodźmy do nich. Może czego dostaniemy. Widać rozłożyli się w zaroślach, żeby do nich nie leźli z drogi, a nie wiedzieli, że ich widać z dołu.

— Może dośpiemy przy nich do świtu, a przy najmniej dosiedzimy, — powiedział Bromirski.

Puścili się zaroślami w lewo, gdy droga skręcała w prawo.

Wyszli przed ogniska. Było ich trzy, między niemi i wokół nich gęsto leżeli ludzie.

Widać spali, gdyż żaden nie ruszył się. Wobec tego przybysze zbliżyli się aż do leżących, nic nie mówiąc.

— Martwi, — rzekł cicho Bromirski, który schylił się i pomacał wreszcie twarze bliższych. — Spali przy ogniu i pomarli.

— Odciągnę ich na bok i siądziemy, — powiedział Ignacy.

Schylił się, i dźwignął jednego pod ramiona. Szttywny i ciężki był jak kłoda.

— Te, towarzysze! — ozwał się niespodzianie w ciszy schryply i zamulony głos z pośród tych, co leżeli między ogniskami. — Nie bierz się psia mać do ognia, bo cię tu wnet...

Dźwignął się zamaszysty chłop, odziany w wielkie futro.

Niespodziany dźwięk swojskiej mowy zmienił jakby położenie w pierwszej chwili. Bromirski i Ignacy, mile zaskoczeni, zapatrzyli się na wstającego.

— Prec! — rzekł chłop, wyraziście gestem pokazując im na ciemne zarośla. Ale! Ale! — dodał po francusku, polskim akcentem. — Kas la tet! — pogroził.

— Ci pomarli, — odpowiedział Ignacy. — Nas tylko dwóch, siądziemy na ich miejsce.

— Takieście ptaszki! — rzekł chłop, nagle wstając na nogi.

Inni już się pobudzili i dźwigali się, z nagle obudzoną ciekawością obracając się ku intruzom. Była w tem jakaś żywość i zajęcie, które dały uczuć obu przybyszom nowe niebezpieczeństwo.

Uczuli się, jakoby zwierzytą.

— Zabierajmy się, — szepnął Bromirski.

Ale było już zapóźno. W jednej chwili otoczono ich, przytrzymano.

— Ludzie! — zawołał Ignacy. — Czego chcecie? Przecież my swojacy!

Jak na zaprzeczenie jego słowom, ten, co go chwycił, sapał mu w ucho:

— *Si je te casse la gueule... cré nom...*

Banda była jak zwykle mieszaniną różnych narodowości.

— Takie same nasze łachmany jak i wasze, — w tarmoszeniu mówił Bromirski.

Przewrócono ich, obdarto. Zszarpywano buty, niemal wykręcając nogi w stawach.

— O, widzis! Galante buty ma! — Musi oficer. — I piniondze. *Sacramento...*

Obdzierani milczeli, zdyszani w szarpaninie. Nie bronili się. Trzymały ich żelazne łapy, które ścisnęły gardła, darty szponami po ciele, zdzierając ubrania. Dopiero po pierwszej chwili poczęli się wyrwać. Obrzydliwość i upokorzenie tego obmacywania, zdzierania, oglądania, szarpnięcia nimi, sprężyła wszystkie siły do oporu.

— No! teraz ic' puście — odzywały się głosy. — *Laissez.*

— Do jidzenia to ta nimają nic. — Ino swoje mięso. — Chy!... to weź!

— *Bouge pas...* — charczał groźnie ten, który trzymał Ignacego. — *Je ne m'amuse pas, tu sais... J' t' étrangle, si tu bouge...*

— Ten stary, a tak to wirzga — no! — słyszał Ignacy chwilami wśród szamotania głosy nad Bromirskim, i razy padające na jego ciało.

Zdławiono ich, przysiedziono. Wśród zmieszanych sapań i szamotania dyszały pogroźki, rady, by zakłuć obdartych.

Nagle wszystko pierchło.

Ignacy odetchnął i podniósł się na łokciu, jak z jakiegoś straszego snu. Ogniska przybladły, na świecie pobielalo. Ujrzał pierzchających w zarośla ku drodze chłopów. Za nimi, z przeciwnej strony, sypały się na małych konikach kosmate, krótkie, dzikie postacie, skurczone, jak koty do skoku.

Zdrętwiał. Poznał, że przyszła śmierć. Kozacy zaraz ich zakłują.

Rzucił okiem: zarośla wszystkie tak daleko, że nim doskoczy, kozak go dopadnie.

Osunął się i legł nieruchomo. Pomyślał, że może to jedno ich ocali. Bromirski leżał bez ruchu.

— Może go zabili, — może omdlał. Byłe się nie ruszył, — mignęło mu w myśli.

Leżąc patrzył jak urzeczony w pędzące bokiem kozackie konie. Było coraz widniej. Kozacy przebiegli i więcej już ich nie było.

Ognie dogasły. Było mu przeraźliwie zimno. Hamował dreszcze, które go chwytaly i trzęsły, jak liść osiny. Wszystkie jego myśli, cała usilność skupiły się na tym jednym wysiłku. Żeby chwilami szczykały mu, jak klekotka, członki dygotały, nie słuchając skurczonych z wysiłku mięśni.

Tymczasem ciągle nic się nie ruszało. Ignacy zamglonemi oczyma wypatrywał jeszcze kozaków. Myślał, że będą lada chwila wracali.

Nagle spadło coś lekko, z szumem przed nim na śnieg. Była to wielka wrona. Pomaszzerowała żwawo do zmarłych trupów. Ignacy dźwignął się. Wrona kraknęła i odskoczyła kilkunastu skokami, podleciała na zarośla.

Ignacy wstał, chwiejąc się. Był bosy, w bieliźnie szarej, brudnej. Ruszył ku Bromirskiemu. Ten był jeszcze więcej obdarty. Koszula leciała w łachmany. Nogi miał w swych szmatach, kolana nagie, twarz okrwawioną.

Ignacy, zrezygnowawszy z ostrożności, dźwignął towarzysza z ziemi. Nabral śniegu, i oparłszy oszłomionego o kolano, jął mu nacierać czoło, kark, piersi. Robił to machinalnie, bez ochoty.

Bromirski przyszedł do siebie. Przyduszono go podczas szamotania. Powiedział, że ma nudności i bóle wewnątrz. Wstał jednak i poszli. Na trupach zmarłych były łachmany, których nie było co zdejmować. Zresztą należało się spieszyć w krzaki. Pobrnęli w zarośla, dygocząc z zimna.

Rozwidniło się tymczasem zupełnie. Wschód oblał się pomarańczowym światłem. Śnieg przestał padać już od jakiegoś czasu. Resztki chmur schodziły z nieba, rozplywając się po krawędziach mgłą buro-żółtą od nasiąknięcia światłem. Z pod nich wychodziło niebo jasne, szczery błękit zimowej pogody.

Ze złotych i pomarańczowych obsłonek zorzy

wypłynęło czyste, przeczudne słońce. Zarośla, obwieszane śniegiem, zmieniły się w czarodziejskie ogrody, w pałace zaklęte. Porumieniały od światła, ziskrzyły się tęczowo. Rozpuściły cienie błękitne, cienie fiołkowe i półcienie różowo-modre. Puchy śniegowe lśniły złotą białością, tryskając ognikami przeczystych barw tęczowych, gdzieindziej oblekały się w biel matową, cichą, łagodną, zadumaną, schodzącą w modre cienie. Po przez gałęzie przemykały się zwinnie rzeźwe ptaszki. Fertaly się na gałązkach, strącając jak z figłów sypki piasek śniegu. Powietrze błękitne, pełne światła, stało się jakby żywą istotą, radością kąpiącą, rzeźwiącą śniegowe czary, które zakwitły jak kwiaty, rozwinięte w ciągu jednej nocy.

Ignacy szedł naprzód, Bromirski w jego tropy. Szli i przystawali bez ruchu, nasłuchując. Nic nie było słyhać, prócz rzadkich szczebiotów ptasich, i gdzieś krakania zmarzniętych wron.

Chcieli wyjść aż na wierzch pagórków, spuścić się na przeciwną stronę i tamtędy wrócić na drogę, gdyż, jeśli teraz już poszli ku drodze, mogliby spotkać się z kozakami, którzy w tym kierunku pobeegli.

Taki plan rozwinął Ignacy. Bromirski odpowiedział tylko:

— Byle iść, póki można.

Szli więc ku górze, jak dwa widma nędzy: bosi, gołogłowi, pokrwawieni, w szmatach bielizny na grzbiecie.

Kroki ich, z powodu zimna, które wprawiało w drgawki konwulsyjne ich ciała, stawały się trudne i niezdarne. Wkrótce nogi ogarnął ból nieznośny. Krwawili śnieg, idąc. Ignacy wyłamał tężającą na kość ręką dwa kije. Tymi próbowali ziemi przed sobą. Zdarzało się bowiem, że ostrożnie stąpając, nabijali obolałą stopę na ostre jak gwoździe kolce połamanych i ukrytych pod śniegiem gałęzi, sęków. Krew szła i marzła, w ranę nabijał się śnieg, grudki ziemi, patyczki, rozdzierały ją i krwawiła ciągle ciepłą, nową krwią. Ciało tężało tak, że dreszcz wydzierał się z niego z bólem, od którego ścisnęły się zęby rozklekotane.

Wszystko, co trwa, staje się normą, zwyczajną rzeczą. Trzeba pewnego wysiłku, dzielności myśli, by wyjść ponad tę zwyczajność. Cierpienie może tak samo spoić, uśpić, odrętwić ruchliwość, jak i zorganizowane powodzenie. Szli przed siebie z pilną wytrwałością, mocując się z okropnem zimnem, zrezygnowani na szarpnięcie bólu przy każdym kroku.

Słońce kładło się na nich lekkim złotem, naprzemian z pręgami liliowego cienia, które sunęły po ich grzbietach przy każdym ruchu. Sikorki modrogłowe pierzchały z krzykami różnej baczności. Kryształowe puchy śniegu sypały się na włosy, na barki, na plecy. Białą, głęboką puch na ziemi kapał ich nogi aż po kolana, moczył bieliznę, nagrzaną przy ciele, która tężała i przyklejała się do skóry, jak zatrute szaty Herkulesa.

Ale oni nie czuli ani śniegu na barkach, ani darcia przymarzłej skóry, ani bólu rozpuchłych i piejących się krwią nóg. Pogodzili się jakby, w uciszonych głowach, z obrotem swego losu i czując jego grę już na ostatniej napiętej strunie, gdzie z jednej strony jest śmierć, a z drugiej życie, cierpliwie dążyli z powrotem do ludzi dla ratunku.

— Pamiętasz, — rzekł Bromirski niewyraźnie, — tego oficera Westfalczyka, który szedł drogą?

— My nie możemy zginać, — odpowiedział mu Ignacy po chwili, zmienionym z zimna głosem.

— Dlaczego? — spytał po czasie Bromirski, jak echo.

Doszli płaskiego wierzchu wzgórzy i poczęli powolutku i ostrożnie nasłuchując, schodzić na drugą stronę. Były tu zarośla wyższe, młody las już podpełdził w górę. Zeszli w niebieski cień.

Ignacy zdrętwiałą myślą usiłował złowić rację swej pewności. Bo miał pewność. Ale cokolwiek, jako powód, do niej dostawiał, wszystko odpadało jak niemocna słomka. Wtem stało mu się jasne, dlaczego. Przywarł do tego gorącego słońca, jak kleszcz.

— Dlatego, — powiedział trzęsącym się głosem, — że tak nie może zostać — w Polsce... Wszystko czeka... Teraz taka klęska...

— Głupis, — rzekł Bromirski. — Już przyszła śmierć.

— Nie przyszła, — odparł Ignacy, prostując się. Zaraz jednak skurczył się znowu od okropnego dygotania roztańczonych od mrozu członków.

Trafili na nocnym śniegiem wysłaną ścieżkę, znaczną po dołkach śladów. Ciał tu nogi jak brzytwą cieniutki lód, zaszklwiający stary śnieg pod spodem. Trzymali się jej jednak, zważywszy, że może wiedła do ludzi.

— To dziwne, — rzekł Bromirski, — nigdy na Litwie i w tych lasach nie był, a marzy mi się